

Paweł Smoleński, Newsweek, nr 33, 12-18.08.2019 r.

Po akcji palenia książek, ustawach norymberskich i nocy kryształowej nikt nie powinien mieć złudzeń. Ale na wakacje do Niemiec Hitlera jeździli wszyscy. Zaślepiła ich miłość do Wagnera, gotyku i piwnych ogródków?

Z listów i pamiętników pisanych na gorąco z niemieckich wakacji wyłania się obraz idylli. Tak na świat patrzą ludzie, którzy jeszcze nie wiedzą, że kolejne lata przyniosą dziesiątki milionów trupów i pogardę do wszystkiego, co dobre i piękne.

Sielskie krajobrazy, gdzie nic, tylko zieleń, łagodne słońce i krzyki winorośli spływające z łagodnych wzgórz ku - tale pisano w listach z wakacji - muskanym wiatrem jeziorom lub spokojnie meandrującym rzekom. W gotyckich miasteczkach próżno szukać śmieci, a na rogach nie wystają kloszardzi i żebracy. Kto zmęczony, może przysiąść w piwnym ogródku, zjeść kielbaski.

A że przy sąsiednim stoliku blond młodzieńcy w skórzanych portkach i rumiane dziewczęta z warkoczami sięgającymi do połowy pleców śpiewają radosne pieśni? Że czwórkami w karnych kolumnach maszerują ludzie w mundurach albo zbyt dużo czerwonych flag z czarnym, dziwnie połamanym krzyżem na białym tle? Wakacyjnych podglądaczy najdzie tylko refleksja, że oni po prostu tak mają.

I

I Niemcy są mili i uśmiechnięci, chętni do rozmowy, choć nie na wszystkie tematy. Ale np. o operze można dyskutować godzinami. Najlepiej w Bayreuth, gdzie na dorocznych festiwalach zbiera się publiczność z całego świata zarażona miłością do genialnego Richarda Wagnera (przy okazji szczerego antysemita) i gdzie pojawiają się największe sławy sceny i batuty. Magazyn „Times” w uniesieniu relacjonował występ włoskiego dyrygenta Arturo Toscaniniego: „Tannhauser poszybował z finezją do końcowego chóru litości i rozgrzeszenia. Kiedy dobiegł

końca, krytycy prześcigali się w wychwalaniu spektaklu jako najbardziej genialnego otwarcia festiwalu od lat. Żaden dyrygent z południa Europy nie dzierżył dotąd batuty w Festspielhausie. Po każdym akcie grzmiły oklaski, publiczność rzucała kapelusze, tupąła i wołała dyrygenta oraz obsadę”.

Było to w 1930 r., jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, ale festiwal już zalatywał nazistowskim smrodkiem. Toscanini, który w następnym roku wyrzekł się Włoch Mussoliniego, szczerze gardził narodowym socjalizmem i nie znosił zaangażowania w hitleryzm najbliższej rodziny kompozytora, zgodził się dyrygować w Bayreuth, choć przestrzegali go żydowscy przyjaciele. Miłość do Wagnera i wiara, że kulturalne Niemcy odrzucą austriackiego demagoga z Monachium, była tak wielka, że Toscanini zrzekł się nawet honorarium. Zbojkotował festiwal dopiero w 1933 r., gdy Hitler był już kanclerzem.

Jak to możliwe, by genialnym dyrygentem oper Wagnera był Włoch? Znaczący jego muzyki, nazista Paul Pretzsch, tłumaczył to tak:

„Badacze do dziś podkreślają istnienie silnej domieszki krwi nordyckiej w północnych Włoszech”. Toscanini urodził się w Parmie, kłopot uznano za rozwiązany.

II

Kto w zanarchizowanej Republice Weimarskiej i w Niemczech Hitlera szukał wakacyjnych wrażeń, zachwycał się kulturą, studiował? Wszyscy, od panienek z dobrych angielskich domów (szkoły dla dziewcząt z high society działały np. w Monachium do pierwszych dni wojny), przez amerykańskich sportowców i naukowców, literatów, polityków, działaczy społecznych i religijnych, lewicowców i prawicowców zakochanych w faszystwie, hinduskiego maharadzę i muzułmanina Aga Chana III, czyli późniejszego założyciela Pakistanu, po chińskich stypendystów poznających tajniki sanskrytu. Uczelnie przyjmowały cudzoziemców wspieranych stypendiami również przez nazistowskie państwo. Przyjeżdżali artyści i pisarze, a także niespokojne duchy - jak Christopher Isherwood, którego nowele stały się kanwą filmu „Kabaret” - szukające w berlińskich nocnych klubach nieznanego gdzie indziej dekadentckiego luzu i homoseksualnych romansów.

Między turystami z USA był Michael King; pod wpływem niemieckiej wycieczki zmienił imię sobie i synowi na Martin Luther. Był król Edward VIII oraz Dawid Lloyd George, liberał i były premier brytyjskiego rządu, który wygrał I wojnę światową. Przyjeżdżali miłośnicy nazizmu i

pacyfiści skłonni za wszelką cenę uniknąć kolejnej wojny. Słowem - do Niemiec Hitlera jeździli wszyscy.

III

Czy ludzie popijający w latach 30. w ogródkach piwnych, słuchający Wagnera i odwiedzający niemieckie muzea wiedzieli, co się święci? Po akcji palenia książek, ustawach norymberskich, pożarze Reichstagu, nocy długich noży i nocy kryształowej nie powinni mieć złudzeń. Zaślepiła ich miłość do Bacha? Albo po strasznej I wojnie żyli w strachu przed kolejną? Lub po prostu byli zwykłymi cynikami czy nazistami angielskiej, amerykańskiej, skandynawskiej narodowości? Głupota i ślepotą też robiły swoje.

Wielką atrakcją turystyczną w 1937 r. była monachijska wystawa tzw. sztuki zdegenerowanej. Dwa lata wcześniej Hitler oświadczył, że w III Rzeszy nie ma miejsca dla kubistów, futurystów, impresjonistów ani jakaś sztuki. Na wystawie umieszczono dzieła Klee, Kokoschki, Kandinskiego, Nolde i innych. Rozmieszczono je byle jak, wyłącznie po to, żeby ośmieszyć, i opatrzone podpisami urągającymi eksponatom oraz tłumaczącymi ich ponoć prawdziwe znaczenie. Przewodnicy zachęcali zwiedzających do wyrażania negatywnych emocji. Niekiedy bez zbytnich sukcesów. Brytyjski pisarz A. J. Cole zanotował: „Zuchwałość tych obrazów była zaraźliwa. Jakbym wszedł do szpitala psychiatrycznego i zrozumiał, że od lat próbuję zostać obłąkanym”.

Ale już Kay Smith, żona amerykańskiego pułkownika, który jako pierwszy urzędnik ze Stanów spotkał się w 1922 r. z Hitlerem, oglądając wystawę w towarzystwie bez mała bohatera narodowego USA Charlesa Lindbergha, uznała, że „oglądanie zdeformowanych twarzy i kształtów pokrytych krwią i wymiocinami - wulgarne, obrzydliwe sceny - wzbudzało wręcz fizyczny sprzeciw”. Opodal równolegle zorganizowano wielką wystawę sztuki niemieckiej. Ponoć cieszyła się mniejszą frekwencją.

IV

Naziści chwalili się swoimi osiągnięciami, ale też niezbyt ukrywali, o co im chodzi. Pokazywali nowo wybudowane autostrady i wzorowo zorganizowane fabryki, szczycili się funduszami, dzięki którym za parę groszy niemiecki robotnik mógł pojechać na wakacje, albo zapraszali gości do świeżo powstałych obozów pracy, a nawet do Dachau, gdzie za więźniów przebierano esesmanów, którzy opowiadali, że w koncentraku nie jest tak źle.

Propaganda przystopowała nieco podczas igrzysk zimowych w Garmisch-Partenkirchen i letnich w Berlinie w 1936 roku. Nie było widać tablic „Juden Verboten” zakazujących Żydom wstępu, a z miejsc, gdzie było wielu cudzoziemców, wycofano kolportaż gazety „Der Sturmer”. Oficjalne bankiety zachwycały zbytkiem. Choć każdy, kto miał uszy, słyszał hurrapatriotyczny, nazistowski wrzask ku chwale wzorowej organizacji zawodów i zwycięstw aryjskich sportowców. Albo rymowaną krążącą po Berlinie: „Gdy igrzyska skończymy, to z Żydami się zabawimy”.

Lecz wielu nie chciało słuchać, oglądając triumfy blond herosów, karne szeregi Hitlerjugend i czarne, świetnie skrojone mundury SS. Dziennikarz Westbrook Pegler pisał o „dniach dyktatora”, ale zauważył, że Hitler nie korzystał z ochrony oraz chętnie rozdawał autografy w przeciwieństwie do nieprzystępnej Greta Garbo. Lady Londonderry, żona wpływowego brytyjskiego polityka i zwolennika ustępstw wobec III Rzeszy, dziękowała w osobistym liście Fuhrerowi: „Zachwycona to mała. Jestem oczarowana. Pan i Niemcy przypominacie mi biblijną Księgę Rodzaju”.

Lloyd George po osobistym spotkaniu z Hitlerem wychwalał go pod niebiosa jako męża opatrnościowego dla Niemiec, wodza, który z poniżonej I wojną światową ojczyzny uczynił kraj sukcesu i dobrobytu. Wielki poeta modernistyczny Ezra Pound (po II wojnie światowej trzymano go przez kilkadziesiąt dni w klatce wystawionej na widok publiczny za wspieranie faszystów) czy norweski noblista Knut Hamsun wielbili Hitlera, mimo że nakazał palenie książek, ale za to chciał stworzyć germańską wspólnotę narodów. Pisarz Henry Williamson, miłośnik natury i - tak można go dzisiaj nazwać - ekolog, przy okazji gość zjazdu NSDAP w 1935 r., widział w Hitlerze bohatera i wziął za swoje nazistowskie hasło „Blut und Boden” (krew i ziemia). Dla amerykańskiego duchownego Franka Buchmana Fuhrer był „natchnionym wizjonerem kontrolowanym przez Boga”.

V

Ale świat mógł czytać również inne opowieści. W latach 1936-1939 jeździła incognito do Niemiec Maria Leitner, pisarka i reporterka, niemieckojęzyczna Żydówka z Budapesztu. W korespondencjach bez litości opisywała marne wioszczyzny, w których mimo nędzy i zacofania czczono Hitlera jak Boga, biedę prowincji skrywanej za nazistowskim cudem gospodarczym, a przede wszystkim niemieckie przygotowania do wojny, łącznie z tragicznymi skutkami wycieku z fabryki farb we Frankfurcie, gdzie produkowano jakieś trucizny. W Dusseldorfie poszła do biblioteki publicznej, gdzie kazała sobie pokazać pokój Heinricha Heinego, który był Żydem, więc trafił na indeks. Dopięła swego, choć jak zanotowała: „Wpatrują się we mnie, jakbym wyhodowała sobie róg na czole”.

Leonard Woolf, mąż Virginii, razem z żoną wybrał się w rejs po Renie. Wystraszony, że współpasażerowie odkryją jego żydowskie pochodzenie, zawczasu zaopatrzył się w list księcia Bismarcka, dyplomaty z niemieckiej ambasady w Londynie. Pismo nie było potrzebne, gdyż małżeństwo miało ze sobą oswojoną małpkę Mitzi. „Uczennice z warkoczykami, żółtowołosie aryjskie Fraulein, prząsne Frau, groźni szturmowcy” zachwycali się widokiem zwierzątka. Wszak ktoś, kto miał takie „kochane stworzonko”, nie mógł być Żydem.

Opowiadali też o ówczesnych Niemczech antysemitach. Denis de Rougemont, szwajcarski filozof i pisarz, usilnie szukał różnic między Żydami z Zachodu, czyli tymi właściwymi, i ze Wschodu. Uważał, że ci zachodni podzielają jego przekonania, lecz nie mieszczą się w nazizmie (uważał go za absurd), czyli w rzeczywistości siły wykluczającej racjonalną myśl. Zaś niewłaściwi Żydzi, „brzuchaci, z pierścionkami i cygarami zwisającymi z ust” usprawiedliwiali poczynania Hitlera. Pisał: „Nie ma potrzeby odwoływać się do jawnie fałszywych dokumentów w rodzaju »Protokołów mędrców Syjonu«. Wystarczy spojrzeć na te brzuchy lub wspomnieć upokorzenie rodziców, których dzieci nigdy nie będą pierwsze w klasie, do której chodzą Żydzi”.

William Fletcher z Kensington, który mieszkał kilka miesięcy w uniwersyteckim Freiburgu, dostrzegł w 1937 r. „wesole żydowskie dzieci bawiące się przed żydowską szkołą”. Robert Jamieson, z zawodu nauczyciel, który słał raporty do brytyjskich służb dyplomatycznych, zanotował już po nocy kryształowej, kiedy palono synagogi i sklepy, bito i mordowano Żydów: „Obawiam się, że posiadam wystarczająco potwierdzonych informacji o Żydach, aby sympatyzować z Niemcami w kontekście ich problemu”. Szanowany irlandzki pisarz Francis Stuart opowiadał: „Słyszałem coś niecoś o ich poczynaniach przed 1933 r. i o współpracy z komunistami. W wielu przypadkach byli naprawdę zatrważający”.

VI

Ale też pojawiali się w Niemczech ludzie tacy jak siostry Cook. Ida i Louise, wielbicielki opery i stare panny, pod koniec lat 30. wielokrotnie jeździły do Niemiec, kombinując, by przejście, którym wjeżdżały do Rzeszy, było inne niż punkt wyjazdu. Wyruszały z Anglii skromnie ubrane, zaś wracały obwieszane drogą biżuterią i z portfelami pełnymi pieniędzy. Tak pomagały żydowskim emigrantom, którzy przed wyjazdem z III Rzeszy musieli zostawić cały dobytek.

Albo małżeństwo Eithne i William Boyle, którzy pewnego słonecznego dnia zostali zaczepieni we Frankfurcie przez Żydówki - matkę i córkę. Mieszkali w Afryce, a spędzali w Niemczech miesiąc miodowy. Dziewczynka nosiła ortopedyczny but i mocno kulała. Matka - widząc na samochodzie nalepkę „GB”, poprosiła Boyle'ów, by wywieźli córkę za granicę. Eithne i William podczas wakacji dość się naoglądali nazistowskiego rajy, by długo się zastanawiać. Zachowało

W RAJSKIM PIEKLE

Wpisany przez Leon Baranowski, Buenos Aires, Argentyna

Niedziela, 29 Wrzesień 2019 00:00 - Zmieniony Czwartek, 19 Wrzesień 2019 06:45

się zdjęcie młodej Żydówki Greta zrobione w ogrodzie Boyle'ów w kenijskiej Nairobi.

Opracował: Leon Baranowski, Buenos Aires – Argentyna